

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną KAWIARNIA J. BISANZA

w Krakowie, przy ul. Dunaiewskiego 1, parter

Kronika tygodniowa.

Powtarzane prawie codziennie słowa suplikacji: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!” nigdy może nie były tak na czasie, jak obecnie, kiedy wszystkie te plagi grożą nam z różnych stron. Jeden tylko ogień okazuje się bardzo lojalnym wobec nas, prawdopodobnie dlatego, by nie narazić na straty towarzystw ubezpieczeniowych, głównie zaś Floryanki, która zasłużyła się społeczeństwu, udzielając chwilowo przytulku w swej sali bezdomnej na razie Radzie miejskiej.

Pałac Wielopolskich restauruje się bowiem nie na żarty, odświeża się salę posiedzeń, kto wie, czy w ślad za tem nie pójdzie i reforma regulaminu miejskiego i ustawy wyborczej, do której od tak dawna bezskutecznie wdychamy.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków, lecz wróćmy do założenia.

Przez całe lato straszono nas „powietrzem”, to jest dżumą, która miała ochotę zawitać w nasze progi od strony Wschodu i cholera. Ta ostatnia zdążyła ze wszystkich stron: od wschodu, zachodu, północy i południa. Wielkiej jednak szkody nie wyrządziła, gdyż władze sanitarne zapomniały o tradycyjnej staropolskiej gościnności i zakazały obu wstępu w granice kraju. Nadeszła jesień, z nią oziębła się aura. Zmniejszyła się tem samem obawa zawleczenia zarazy, zresztą nawet o tem się dziś nie myśli, gdyż mamy na głowie daleko ważniejszą sprawę, w pierwszej zaś linii drugą plagę, to jest głód.

Głód ten jednak nie jest następstwem jakichś klęsk elementarnych, jest on wytworzony sztucznie przez dostawców środków spożywczych, którzy zawiazali formalny kartel, aby nas ogłodzić. Żywności mamy podostatkim, niestety nie można się jej dokupić, gdyż ceny z każdym dniem idą w górę. Chciwość agraryuszów i ich adherentów, w ślad zaś za nią wyzysk przez miejskich handlarzy, którzy po prostu uprawiają lichwą żywnościową, nie mają już granic.

Zaradzić nędzy miał w pierwszym rządzie parlament, który nie może się zabrać do pozytywnej pracy, tłumacząc się nieśmiertelnym brakiem czasu i zdenerwowaniem po strzałach Wawra, po których dotąd nie może przyjść do siebie. Opatrznościowy mąż, ekscelencyja Gautsch, obiecał wprawdzie, że rząd zajmie się rychło tą sprawą, od obietnicy jednak do ich wykonania bardzo daleko, zwłaszcza teraz, gdy gabinet nie rozporządza większością parlamentarną.

Jeden z najsprytniejszych polityków austriackich, były minister a obecny prezes Koła Polskiego, dr. Biliński, podał nowy plan, powzięty podobno do spółki z prezydentem Izby poselskiej, Sylwestrem. Ma on ułatwić konsolidację stronnictw i wytworzyć silną większość rządową w parlamencie. Chodzi mianowicie o utworzenie „komitetu pracy” lub „komitetu porządku”, złożonego z przedstawicieli niemieckich liberałów, chrześcijańsko-społecznych, Klubu czeskiego i Koła Polskiego. Skoro porozumienie pomiędzy przywódcami stronnictw okazało się niemożliwym do osiągnięcia, zająć się ma tem ów komitet, który prędzej i łatwiej powinien się załatwić z tą sprawą.

Czy jednak powiodą się zamysły, trudno dziś przewidzieć, zwłaszcza, że na przeszkodzie staje w pierwszym rządzie sprawa włoskiego fakultetu, za którym stoi rząd, a który zwalczają namiętnie niemieccy liberali.

Także i klub ruski niezadowolony jest ze stanowiska rządowego i pozostaje w opozycji. Rusini żądają, aby jak najprędzej uwzględniono ich postulaty i to bez oglądania się na zgodę Koła Polskiego, *respectue* bez przeprowadzenia tak zwanej ugody polsko-ruskiej, o której, w obecnych przynajmniej warunkach, gdy Rusini ze swej strony stawiają same żądania, a nie zgadzają się na żadne ustępstwa, chyba ani mowy być nie może.

Zupełnie to samo da się powiedzieć o porozumieniu czesko-niemieckim, które wyrodzić się mogło tylko w umysłach polityków, obdarzonych sporą dozą bardzo bujnej fantazyi. Tutaj jest jeszcze gorzej niż w Galicyi, gdzie przynajmniej Polacy usposobieni są pojednawczo. W Czechach, ani Niemcy, ani Czesi, nie chcą ustąpić ani na krok.

Wobec takiego zbiegu fatalnych okoliczności o żywotności naszego parlamentu i zdolności do pracy, nawet myśleć nie podobna, dopóki zaś to nie nastąpi, obietnice parlamentu i poszczególnych jego członków są tylko czczą mrzonką i pustym frazesem.

Odbył się także we Wiedniu zjazd przedstawicieli miast austriackich, który powziął cały szereg bardzo doniosłych rezolucyj, mających zwalczyć obecną drożynę w miastach, mają one jednak tylko platoniczne znaczenie i pomieszczone być winny w rządzie pobożnych życzeń, dopóki przynajmniej nie zmieni się gruntownie obecna sytuacja wewnętrzna w naszej połowie monarchii.

Istnieje i we Wiedniu komisya drożyniana, wybrana z Iona Izby poselskiej (gdź „panowie” nie potrzebują się zajmować takimi głupstwami) ale i ona też tylko radzi, a mało przynosi pożytku, przypominając zupełnie owe komisye aprowizacyjne, które w miastach galicyjskich wiodą suchotniczy żywot i istnieją tylko... *de nomine*. W czasie ostatniej sesyi, członkowie jej, ludowiec hr. Lasocki i konserwatysta pan Haller, sorzeczili się stanowczo dowozowi mięsa argentyńskiego, pragnąc nas zapewne przerobić na jaroszków. Wiadomo zaś, że pokarm roślinny wpływa bardzo dodatnio na złagodzenie charakteru i uspokojenie wojowniczych instynktów. Niestety już i w jaroszków bawić się dziś trudno, bo podróżowała wszelaka zielenina.

Ratuje nas w biedzie krakowski magistrat, który zakupił nas, czy już nawet zakupił, ziemniaki dla miejskich głodomorów i przedstawicieli partyi socjalno-demokratycznej, występujący jako przedsiębiorcy piekarscy, mający nas karmić chlebem własnego wyrobu „z młotem w zębatem kole”.

Może to bodaj w części ulży naszej niedoli!

Sprawa „głodowa”, dzięki fatalnemu zbiegowi politycznych okoliczności, przedstawia się więc w bardzo czarnych kolorach i nie rokuję rychłej zmiany na lepsze. Z dnia na dzień drożeje wszystko w sposób zastraszający ku utrapieniu naszych biednych gospodyń, które potem swe niezadowolenie wywierają na nas, dostawcach gotówki, potrzebnej do popędu gospodarstwa domowego.

Pożał się też Boże, jak wygląda obecnie to gospodarstwo!... Po prostu zbrzydło człowiekowi już życie skutkiem ciągłego borykania się o kawałek codziennego chleba i to chleba suchego, bez masła, a nawet kuneolu! Zrazówka, krzyżówka i poledwica, to specyały, o których możemy tylko marzyć, a oglądając je chyba na wystawach sklepów rzeźniczych i masarskich. Najprzyjemniejszą lekturę stanowi dla mnie codziennie, po „tak zwanym” obiedzie, książka kucharska ś. p. Cwierciakiewiczowej, owa perła literatury gastronomicznej z tych czasów, kiedy to można było smaczny obiad spożyć za „trzy złote” i jeszcze coś nieco zostało na kolację!...

Nie będę jednak drażnił Szanownych Czytelników tak „smaczniemi” wspomnieniami, kończę rozdział o głodzie konkluzją, że nie mam wcale nadziei, by nastąpiła zmiana na lepsze, choćby nawet pan Gautsch ustąpił, a jego miejsce zajął pan Biliński.

Chyba, że wezmą się na ostro do rzeczy, przestaną tylko radzić, a zaczną także i robić!

Przechodząc teraz do porządku dziennego nad ogniem, o którym napomknąłem już na wstępie, przystępuję do wojny...

Przedewszystkiem mamy więc my żonaci niustającą wojnę domową z naszymi połowicami z przyczyn wyżej wyliczonych. Każdy małżonek pędzi ten marny żywot w ciągłym pogotowiu wojennem, stanowiąc, niestety z zasady stroną odporną, bardzo zaś rzadko zaczepną, co się jednak zazwyczaj źle kończy, jak to miałem sposobność skonstatować na jednym z mych politycznych przyjaciół, który onegdaj dopiero wieczorem odważył się pokazać publicznie na mieście, taki był podrapany. Stracił też w zupełności smak do pilznera i zieleniaka!

Najlepiej jeszcze wychodzą ci małżonkowie, których połowice noszą nowomodne suknie, spętane niżej kolan... W decydującej chwili możesz przynajmniej ratować się ucieczką, a ona cię nie dogoni. Dzięki jednak gimnastyce, panie nasze nabyły ogromnej wprawy w rzucaniu na odległość ciężkimi przedmiotami... Bodaj licha wzięło to nowomodne wychowanie!

Na domiar nieszczęścia, przepowiada koleżanka redakcyjna od mód niewieścich, że owe spętane suknie wychodzą już z użytku, a miejsce ich zajmą wolniejsze dołem i kto wie, czy nie doczekamy się nawet i krynolin, w których tak „do twarzy” było naszym babkom i prababkom, Moda ulega ciągłym wahaniom, spodziewajmy się i tej zmiany, następstwem jej będzie zmiana wozów tramwajowych na większe, gdyż, jeśli dziś już nie mogą się w przedziale klasy pierwszej zmieścić cztery damy w no-

womodnych kapeluszach, w krynolinie nie wejdzie tam ani jedna!

Dajmy zresztą spokój krynolinom i ich właścicielkom, które mogłyby się obrazić na Boga ducha winnego kronikarza, że miesza się w nieswoje rzeczy. Kończmy rzecz o wojnie, tym razem już tej prawdziwej.

W Austrii, dopóki minister Auffenberg nie otrzyma żądanych trzystu milionów (a jakoś ani austriacki parlament, ani sejm węgierski nie mają do tego ochoty) wojny spodziewać się nie należy. Najpierw trzeba uzupełnić uzbrojenia, by choć w przybliżeniu można się było dostosować do sprzymierzonego sąsiada, który nam na pięty następuje. A marynarka austriacka pozostawia dużo do życzenia, nawet Aron Gujer nie dałby za nią zbyt wiele, choć on marynarki przedkłada nad inne części składowe garderoby męskiej.

Zato, o ile naturalnie można wierzyć pismom codziennym, wre walka na trzech końcach świata, w Portugalii, Trypolisie i Chinach. Pierwsza z nich była tylko małą ruchawką rojalistyczną, odpowiedniejszą do kinematografu lub operetki, a nie na karty historii. Zwolennicy króla Manuela porwali się z motyką na słońce, ich protegowany pozostał i nadal w Anglii, gdzie z zupełnym spokojem poluje sobie na króliki...

Daleko gorzej jest w Trypolisie, skąd wiadomości przychodzą bardzo skąpe i niejasne. Włosi cieszą się, że pobili na głowę nieprzyjaciela, który się nawet nie pokazał, Turcy przechwalają się znów, że ze wszystkich stron nadszły im z pomocą szczepy beduińskie. Ale jakoś dotąd się nie zjawily.

Natomiast szczerp Senussi, nie mogąc się doczekać przybycia krakowskiego legionu ochotniczego, od czego miało się zacząć akcję zaczepną wobec Włochów, urządził tymczasowo nadprogramową rzuch chrześcijan w Bnghazi, by w ten sposób przypomnieć się Europie. Epilog całej makaronowej afery będzie taki, że mocarstwa każą Włochom cicho siedzieć w Europie, Turcy się wówczas uspokoi, a w świecie politycznym nastanie znów *status quo ante*, to jest okres dalszych zbrojeń i wzajemnego kiwania sobie palcem w bucie.

Przyznaję się, że nie jestem zawodowym politykiem i być może się mylę, proszę mi jednak wybaczyć, to przytrafia się nawet ministrom i szom koronowanym, a mnie niegdyś w szkołach nazwano, co najwyżej... koronnym!...

Najgorzej jednak jest w Chinach, gdzie rewolucya wybuchła w całej pełni. Wojska cesarskie uciekają przed powstańcami, zostawiając im broń, amunicję, żywność; zdaje się, że wybiła ostatnia godzina dla dynastyi mandzurskiej. Czy moje przypuszczenia, wyliczone w poprzedniej kronice, że tam Japończycy dolewają oliwy do ognia, by mieć potem pretekst do interwencji, są oparte na faktach rzeczywistych, tego także nie sprawdziłem, choć przyznam się, że kwestya chińska więcej mnie obchodzi, niż zatarg włosko-turecki w Trypolisie, już choćby z tego powodu, że obecnie gotowa podróż herbata, a o to boi się znów moja żona i każe mi bacznie śledzić przebieg wypadków na dalekim Wschodzie.

Kaftany, Kamizelki, Spodnie, Skarpetki, Rękawiczki, oraz różne ogrzewacze z wełny owczej, wielbłądziej i himalaja

poleca

B. WIERZEJSKI Krak. w. Linia A-B, róg ul. Floryańskiej.

Dostawca Związku lekarzy i ekonom. urzędników państw

Skating Rink „Wrotnisko”

w Krakowie — Rajska 12.

Codziennie dwa Seanse sportowe; rano od godz. 10-1, popoł. od godz. 4-11 wieczór przy stałej muzyce. — Popis wyższej jazdy na wrotkach Mr. Hartley'a z Ameryki. — Bufet na miejscu.

Nadzwyczaj polecenia godnem jest, przed zakupem artykułów do użytku oraz podarunków, przeglądać bogato ilustrowany, zawierający bliżko 4000 rycin, katalog główny, znany ze swej rzetelności światowej firmy HANNS KONRAD, c. k. nadw. dostawca w Brün Nr. 2902 (Czechy), która tenże każdemu na żądanie wysyła darmo i oplatnie.